

Pawlak Romuald

Błędne Lemingtony

Z „*Science Fiction*”

I.

Nastał wreszcie świt po nocy pełnej czarów.

Słuchając natrętnego świergotu ptactwa, który płynął z koron drzew ponad ich głowami, Fillegan z Wake coraz to bardziej nabierał ochoty na wywołanie jakiegoś ptasiego pomoru czy innej zarazy. Odczuwał ulgę w cierpieniu, wyobrażając sobie, jak spadają z gałęzi, sypiąc u jego stóp wielobarwny dywan trzepoczących skrzydełek, słabnących jęczyczków w tych okropnych dziobach... jak zdychają, bezsilnie skrzecząc... Na tyle właśnie zasługiwało to cholerne ptactwo, swymi godowymi pieniami uniemożliwiające rycerzowi skupienie się i znalezienie jakiegoś wyjścia z pułapki, w jaką wpadli.

Nastrój miał podły, a nawet katastrofalny za sprawą trzech osób. Jak mówi stare ludowe porzekadło, daj mi człowieka, a kłopot sam się znajdzie.

Jednym z tych ludzi był niejaki Udo von Karakorn, rycerz siedzący z dziesięć kroków dalej, pod wielkim, splekanym ze starości dębem.

Fillegan nareszcie mógł mu się przyjrzeć nie w migotliwym blasku pochodni czy mdłej poświacie księżycy, lecz w normalnym świetle dnia. I szybko doszedł do wniosku, że ta chudzina, pociągła na twarzy niczym koń głodzony przez osiemnaście dni, w źle wyprawionych skórkach z rzadka naszytymi żelaznymi blaszkami, który to sprzęt udawać miał zbroję, w dodatku z mieczem wyszczerbionym przecież nie na głowach sławnych wrogów, tylko zapewne od golenia zarostu na twarzy, przypominającego sierść niedźwiedzia - otóż dlatego tak go denerwuje ten bydlak, że przypomina jego samego, Fillegana z Wake, z czasów wcale nie tak odległych, gdy błąkał się po wykrotach, szukając tam korzonków i miękkich żołądźmi nadających się do jedzenia.

Tymczasem z krzaków, gdzie oddawał się ponurym rozmyśleniom nad nadciągającą katastrofą, wylazł baron von Remington, drugi sprawca nieszczęścia, w jakie popadli. Drugi i zarazem ostatni spośród żywych, bo trzeci z tej trójcy inspiratorów apokalipsy, filozof Plotyn, od wielu wieków spoczywał w grobie albo w trzewiach okolicznych gryzoni oraz robaków.

- Musicie coś złościć - rzekł z naciskiem, jakby Fillegan nie pamiętał poprzednich trzystu dwunastu identycznych apeli. - Przecież tego nie można tak zostawić!

Fillegan smętnie popatrzył na trzy kurhany, odległe o jakieś sto kroków, na małe jezioro chlupoczące z tysiąc kroków dalej, po lewej stronie wzgórz. Mimochodem zarejestrował, że w chwilach zdenerwowania „l” w ustach barona niebezpiecznie zbliża się do „chl”... W końcu wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, że ja już zrobiłem - stwierdził sucho. - I to na waszą prośbę. - Chciał dodać „balonie”, ale w porę się powstrzymał.

Remington powiódł spojrzeniem za rycerzem, w stronę kopców ziemi, jakby w obawie, że zaraz wyłoni się stamtąd coś niebezpiecznego, podziemne upiory na przykład.

- To musicie złościć więcej! - niemal krzyknął. - Przecież oni załaz ożyją! Słońce już wysoko!

Fillegan tylko smętnie pokiwał głową. „Więcej i więcej, i wciąż za mało” - pomyślał z rosnącą irytacją. Wkurzał go ten Remington jak nie wiadomo co. Najchętniej by go zamienił w głąz albo słup toczony przez korniki, tylko mu etyka zawodowa nie pozwalała, bo pierwszy punkt kodeksu czarnoksiężników głosił, że choć można klientów traktować szorstko, nie wolno ich jednak torturować, zamieniać w potwory ani oszukiwać. Ani też czynić niczego wbrew ich woli.

Tymczasem nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się von Karakorn, intonując pieśń na cześć swej ukochanej, Laluppy. Fałszował przy tym niemiłosiernie, zupełnie jak Falquet przed mutacją.

Wreszcie Fillegan nie wytrzymał tego i szybkim krokiem podążył w stronę kurhanów.

- Zobaczę, co się da zrobić - rzekł baronowi na odchodnym. - Ale nie spodziewajcie się cudu, Remington.

* * *

Cała ta nieszczęsna historia zaczęła się jakieś dwa tygodnie wcześniej. Olgan von Durkheimer, ów uczony z Haltenburga, po raz kolejny przysłał Filleganowi zaproszenie, aby zechciał go odwiedzić. Widząc bowiem, jak jego dawny uczeń rośnie w sławę i potęgę, teraz to on pragnął coś z niej uszczknąć. Nie wypadało odmówić...

Fillegan nie należał jednak do tych, co to łatwo dają się oskubać. W dodatku nudził się straszliwie i już po trzech dniach postanowił wyjechać pod byle pretekstem.

Na szczęście wziął ze sobą giermka, Duendaina. Nic mu nie mówiąc - bo po co chłopak miał się niepotrzebnie zdradzić - szybkim czarem wywołał u niego chorobę, która najpierw odebrała mu siły, a za dwa, trzy dni miała zacząć udawać zarazę. Wtedy Durkheimer sam ich wyrzuci, nie będzie trzeba kłamać czy szukać wymówki. A przy okazji niech się Olgan trochę podenerwuje, to nie zaszkodzi.

I wtedy, akurat gdy choroba giermka miała rzucić się atrakcyjnymi dla oka czarnymi plamami, nadszedł list do Fillegana. Rycerz w skupieniu oglądał go, podejrzewając jakąś paskudną niespodziankę, wreszcie z wahaniem przełamał pieczęcie.

W środku znajdowała się prośba od nie znanego mu bliżej barona Remingtona o spotkanie. „Potrzebuję pomocy maga w sporze ze swymi sąsiadami, rodziną Karrenbuschów” - pisał ów. I podawał miejsce spotkania, wieś Arrasgard nieopodal Haltenburga, jutro przed nadejściem zmierzchu.

Fillegan nie był pewien, czy powinien przyjmować tak dziwnie sformułowane zaproszenie. Durkheimer uspokoił go jednak mówiąc, że owszem, coś tam słyszał o tym rodzie, nie jest to żadna lipa ani zasadzka. Rycerz pozostawił więc biednego giermka pod opieką Olgana, sam zaś podążył na wyznaczone spotkanie, zabierając podróżną torbę pełną magicznych akcesoriów.

* * *

Baron Filo von Remington wyglądał na szaleńca, ale z pewnością nim nie był. Nie wymawiał „r”, przez co jego mowa wydawała się nieco dziecinna, lecz już po pierwszych słowach należało w nim dojrzeć człowieka twardego i zdecydowanego na wszystko.

Gdy Fillegan starał się nie zauważać nerwowego tiku w oku barona, ten uśmiechnął się ponuro i rzekł:

- Ano, matka wojenka szalpie nelwy... ma się paskudnych sąsiadów, psiaklewka... - I przy antałku zacnego reńskiego wina opowiedział rycerzowi, dlaczego szuka maga.

Otóż od czterech pokoleń rodziny Remingtonów oraz Karrenbuschów mieszkają na sąsiadujących ziemiach, tocząc nieustający spór o prawa do trzech dębów.

- Aktualnie rządzi tam młody Kallenbusch, opasły jak świnia. No i muszę upolować to bydlę, bo wyścig zblojeń urządził, psiaklewka, foltecę wystawił... nie wiadomo, jak się to skończy... - cedził Remington, mrugając prawym okiem, jakby to była jakaś latarnia morska, nadająca sygnały świetlne. - A mam pewien pomysł, stąd i maga potrzebuję, żeby upolować to glube bydlę, zanim on złupi moją skórę...

Fillegan z uwagą przyglądał się własnym paznokciom.

- A co ja będę miał za tę pomoc? Płacicie złotem czy jak? .

Remington roześmiał się chrapliwie, co w uszach Fillegana zabrzmiało jak sygnał dany rogiem.

- Bez ulazy, ale tłoche się o was rozpytałem, panie. Powiadają, że księgi lubicie. Nic dziwnego, wy wszyscy, magowie, czalnoksiężnicy i insza taka hałastla w magii się lubująca, wiedzy najbaldziej łakiecie. Ano, to mam do zaofelowania palę interesujących ksiąg.

Fillegan w zaciekawieniu uniósł brew.

- Na przykład? Może jakieś dzieła Johanna Braua? - Był to znany tutejszy czarnoksiężnik, niestety, pisma jego, traktujące między innymi o transmutacji, nie zachowały się albo właściciele nie ujawniali faktu ich posiadania.

Remington uśmiechnął się chytrze.

- Kto wie? Pamięć mnie ostatnio zawodzi... Ale miało się w lodzinie magów i palu innych waliatów, to i księgi pozostały po nich. Przyjedziecie, obejrzyjecie, przy okazji pomożecie uwolnić dęby od Kallenbuscha...

- Nic mnie w Haltenburgu nie trzyma, mogę ruszać choćby i zaraz - zapalił się Fillegan. - Substancje i narzędzia mam w torbie, a dzieci w izbie nie płaczą.

W ten właśnie sposób popełnił gruby błąd. Tak bardzo był spragniony jakiegokolwiek rozrywki, że przeoczył rzecz najważniejszą.

Nie zapytał mianowicie, jaki to pomysł ma Remington na pozbycie się kłopotu w postaci Karrenbuschów...

* * *

- Żartujecie, prawda? - rzekł zaskoczony Fillegan. Zdążyli się już oddalić spory kawał od Haltenburga, nim wreszcie baron wyłuszczył mu swoją koncepcję straszliwej zemsty na Karrenbuschach.

Remington wydawał się zdziwiony zaskoczeniem Fillegana.

- To przecież płosze jak pstąg w łodzie - rzekł. - Już wam tłumaczyłem, że tu nie chodzi o pieniądze. Małą almię to bym powołał z wasali, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale to dupy wołowe, za przeproszeniem, nie rycerstwo zdolne najechać tę głubą świnię. A ci, co zdolni, to pewnie przekupieni przez Kallenbiischów,... tak samo, jak ja przekupiłem co baldziej splawnych w lobieniu blonią jego ludzi... no i mamy klincz. Ani on nie najedzie mnie, ani ja jego...

Tu Remington ściągnął wodze swej klaczy, osadzając ją w miejscu. Fillegan niechętnie poszedł za jego przykładem.

Hrabia wskazał dłonią niewielki łagodny pagórek, obok którego wiodła droga.

- O, jest takiej wielkości - powiedział. - To jak myślicie, ilu ludzi może tam być?

Fillegan zaklął. Remington chyba naprawdę na głowę upadł, skoro myślał, że będzie można skorzystać z tego pochowanego w kurhanach rycerstwa. Co z tego, że bitwa była wielka i podobno dzielnie walczone? Czy to kto słyszał, żeby wywlekać śpiące snem wiecznym rycerstwo, i to, pardon, żeby skroić tyłek jakiemuś tam Karrenbiischowi?!!!

- Jakbym wiedział, że nekromancją się mam zajmować, to inna byłaby rozmowa - mruknął gniewnie.

Remington uśmiechnął się chytrze.

- Powiadają, że sobie nie z takimi splawami ładziliście. A ja spól o te trzy dęby chcę łaż na zawsze łożwiaząć. I księgi przecie palicie się obejrzyć... Poza wszystkim, czy to się kwalifikuje pod neklomancję?- zakończył powątpiewająco.

Poirytowany Fillegan zagryzł wargę. Właściwie mógłby zdobyć te księgi innym sposobem. Skoro już baron von Remington raczył mu o nich powiedzieć, rycerz mógłby dokonać najazdu, spalić zamek, dokonać wykopu, albo użyć jakiegoś czaru...

Ale jakoś ze trzy niedziele temu postanowił sobie dochowywać uczciwości wszędzie tam, gdzie to będzie możliwe. No i wypadło teraz, że będzie musiał uczciwie zapracować na te czarnoksięskie księgi.

„Zresztą, może to już pora zacząć być legalistą” - rozmyślał, leniwie przyglądając się polom, na których zboże wzbierało w ciężkie kłosa. - Mieć nie jakieś tam kradzione czy odpisywane ukradkiem, robione w tajemnicy kopie, tylko całkowicie i - absolutnie legalne papiery...

* * *

Baron von Remington wybrał taką trasę, żeby miejsce przyszłej akcji Fillegan mógł sobie obejrzyć, zanim udadzą się na spoczynek w zamku.

Granicę pomiędzy włościami Remingtonów i Karrenbuschów stanowiło jezioro, a także przylegająca do niego po zachodniej stronie ściana mieszanego lasu. Bór należał już do wrogów barona. Jezioro i widoczne dookoła ziemie były własnością Remingtonów. Spór szedł o trzy dęby, rosnące na krańcach lasu. Karrenbüschowie twierdzili, że to naturalna, majestatyczna granica ich ziem.

Drzewa rosną przecie w lesie, prawda? Remingtonowie dowodzili wszakże, iż skoro od pozostałych drzew te trzy dęby dzieli co najmniej pięć kroków dorosłego człowieka, to rosną już one na ich polach. A poza wszystkim, czy, na przykład, można o wiśni posadzonej w sadzie powiedzieć, że znajduje się w lesie?

Baron wymyślił dwa wzajemnie uzupełniające się plany: chciał najpierw z ożywioną armią powędrować pod zamek Karrenbuschów, aby zademonstrować im swoją siłę, a może i wziąć przy okazji fortecę, jeżeli się to uda. Później zaś pragnął tę Armię Ciemności skierować do wyrębu irtująco bliskiego drzewostanu swych okropnych i źle wychowanych, kłótlivych sąsiadów.

Wystarczy go wyciąć na szerokość dziesięciu, piętnastu kroków i kwestia dębów unormuje się sama.

Na razie jednak wymarzona armia barona von Remingtona spoczywała na polu, jakieś sto, sto dwadzieścia kroków od owych nieszczęsnych dębów, w trzech niewielkich kurhanach, do których właśnie się zbliżali. Porośnięte były jaskrem trującym, który niedawno zakwitł, przez co stoki wydawały się pokryte śniegiem, kwiaty jaskra wyglądały bowiem jak drobne gwiazdeczki śnieżnego puchu. Roślina miała także drugą, ludową nazwę - zapominajki - bo jedno dotknięcie gołą ręką czy nogą pyłku na pręcikach uwalniało delikwenta od wszelkich spraw doczesnych. Szczególnie upodobali je sobie wszelkiej maści samobójcy po niepowodzeniach miłosnych.

Jaskier mógł przeżyć na dowolnej glebie, ale dla tego straszliwego kwiecica nieboszczycy byli tym, czym dla człowieka gorzałka, dla pszczoł cukier, a dla wielbłąda jeździec, którego można wytarosić i

zrzuć. Tam, gdzie mógł się pożywić na zwłokach, rósł bujnie, jak na tych kurhanach, gdzie oplótł swym gąszczem wszystkie stoki. I tylko tam jego kwiaty zyskiwały odpowiednią siłę, aby człowieka pozbawić życia, tak jakby dopiero czyjaś śmierć budziła kwiaty jaskra do zadawania kolejnych śmierci.

- Robią wrażenie te groby - rzekł z uznaniem Fillegan.

Remington uśmiechnął się z zadowoleniem.

- A wyobraź sobie, jacy muszą być ci, których tu pochowano! - stwierdził z satysfakcją. - Młody Kallenbusch nalobi w gacie, jak tylko ich zobaczy...

Fillegan czuł niewielkie mrowienie dawnej magii. W kurhanach rzeczywiście byli zmarli. I zapewne mógłby ich ożywić.

- Będę się musiał przygotować - orzekł. - To nie jest taka prosta sprawa...

Baron pojednawczo poklepał go po ramieniu.

- Jakby to była płosta sprawa, to bym nie płacił księgami. Nie ma pośpiechu, drogi Filleganie.

* * *

Zamek barona okazał się kuriozum, jakiego Fillegan nigdy dotąd nie widział. Wysokie, zębate od blanek mury, cztery wieżycy w narożnikach prostokąta, na jakim została wzniesiona budowla, dookoła fosa, wszystko to sprawiało solidne wrażenie. Czegoś tu jednak brakowało. Zasadniczego, niezbędnego elementu...

- A gdzie jest brama wjazdowa? - rzekł w najwyższym zdumieniu Fillegan, baron bowiem zmusił go do objechania zamku dookoła, nim powrócili na drogę, którą tu przybyli.

Remington roześmiał się chrapliwie, jak to on, i sięgnął po mały myśliwski róg przewieszony na piersi. Zadał w niego kilkakrotnie, na przemian długo i krótko, dając skomplikowany sygnał swej załodze.

I wtedy z murów wysunęła się wielka żelazna kładka, opadając na ziemię tam, gdzie stali.

- Żaden włóg nie przejdzie przez drzwi, których nie ma - rzekł Remington i pierwszy począł się pięć pomostem w górę. Jego wierzchowiec zdawał się przyzwyczajony i podążał spokojnie na blanki. Jednakże jabłkowa klacz pod Filleganem parskała i prychała, niechętnie posuwając się w stronę murów. Rycerz zaś bał się poganiać ją ostrogami, bo jeszcze by oboje spadli do fosy, stając się pośmiewiskiem ludzi Remingtona.

Cóż, posłuchałem inżyniera, który budował zamki lycerczom zakonnym, szczególnie naszym, z Domu Niemieckiego - wyjaśnił z uśmiechem baron von Remington, gdy już znaleźli się na murach. Stąd, jak się okazało, identyczna kładka zbiegała na poziom gruntu. - Jak przeciwnik nie ma głównej błamy do folsowania, to mu tłudniej zdecydować się, by wziąć jakiś punkt na cel.

W zamku najpierw zjedli kolację, później baron zaprowadził rycerza do zbrojowni i pokazał Filleganowi inny wynalazek, jaki go zafrapował.

- To olgany ogniowe - rzekł, wskazując na drewnianą konstrukcję, na której osadzone były lufy różnej wielkości i grubości. - Smok zięjący kulami, na lazie niecelnie - tu Remington westchnął ciężko. - Ale się poplawi - dodał po chwili. - Jak ci się nie uda magią odebrać dębów Kallenbuschom, użyję tego alabskiego wynalazku.

- No to przystąpmy do interesów - zaproponował Fillegan. - Już wiem, czego oczekujecie ode mnie. Wyprowadzenie rycerstwa z tych kurhanów nie będzie łatwe, ale gotów jestem się podjąć. Chciałbym jednak przedtem obejrzyć księgi.

- A, plawda, papierzyska - stwierdził z niechęcią baron. - No to chodźmy.

Po takiej reakcji Fillegan już wiedział; że to wszystko pic i błaga, Remington kłamie mu w żywe oczy, wiedząc, że jakby powiedział prawdę, rycerz nigdy by tu nie przyjechał; Księgi poświęcone magii zapewne istniały tylko w wyobraźni barona. No, ale skoro już odbył tę drogę, Fillegan postanowił ze spokojem udać się za Remingtonem do jego biblioteki.

A jednak baronowi udało się zaskoczyć go po raz kolejny. Papiery, które wyjął ze schowka ukrytego w mosiężnej, zaśniedziałej skrzyni zajmującej pół ściany pomieszczenia, oczywiście nie miały nic wspólnego z magią. Zapewne zresztą Remington tak właśnie podejrzewał. Lecz same w sobie dzieła były interesujące. Marną łaciną, bazgrołami tak straszными, że w jakiś sposób mogło to usprawiedliwiać barona, w trzech tomach kryły się... sekrety dobrej kuchni, zbiór przepisów z całej Europy. Wystarczyło rycerzowi ledwie rzucić okiem, żeby się przekonać, że ktokolwiek je spisał, znał się na kucharzeniu lepiej niż Viprenque, kucharz barona Detardieux.

Z tymi notatkami w rękę to i Fillegan byłby od niego lepszy.

- Biorę - zdecydował się szybko. - A czary zaczniemy jutro wieczorem, jak myślę. Zresztą, muszę się zastanowić...

* * *

Musiał się zastanowić. Cały jego zbiór ksiąg został w Chaverny, a dzieła, które aktualnie posiadał Durkheimer, a po które Fillegan mógłby ewentualnie posłać, też do niczego się nie nadawały.

Już w drodze przemyślał, jak wydobyć umarłaków z kurhanów. Mógłby się, co prawda, posłużyć tradycyjnymi zaklęciami, które pamiętał, ale poza jednym przypadkiem - i to dosyć wątpliwym, bo znanym wyłącznie z relacji niejakiego Johna Reula - nigdy nie słyszał, aby komuś udało się skorzystać z pomocy zmarłych. Musiał się więc w tym kryć jakiś haczyk. A Fillegan nie miał ochoty na niego się nadziewać, i to własnoręcznie.

Widok kurhanów porośniętych jaskrem trującym podsunął mu jednak inny pomysł, w czym pomogła wiedza z dziedzin pobocznych. Rycerz do poduszki czytywał bowiem nie tylko dzieła konserwatywnie czarnoksięskie, ale na przykład takiego Plotyna, magią zajmującego się na marginesie rozważań o naturze świata. W jednym z dzieł, „Ziemia oświetlona”, ów filozof, obecnie - za sprawą pisania o ekstazie i dziewiątkach, które łatwo obrócić w szóstki - znajdujący się na indeksach papieskich w dobrym towarzystwie wielu zarówno chrześcijańskich, jak i niechrześcijańskich naukowców, dowodził istnienia pary dziwnych gatunków: heliofobów oraz heliofilów. Te pierwsze bały się światła słonecznego, unikały go panicznie, umierały, jeżeli nie zdołały się w porę ukryć. Drugie zaś mogły żyć tylko w blasku słońca, żywiły się nim. Plotyn pisał, że słoneczne zaćmienia wynikają z tego, że czasem heliofilów namnoży się za dużo i pożerają go tak łapczywie, że brakuje światła dla oświetlenia Ziemi. Stąd też podobno brały się te zagadkowe plamy na słońcu.

Fillegan nie słyszał, aby komukolwiek poza Plotynem udało się zaobserwować choć jedno ze wspomnianych stworzeń. Ale... sam pomysł, aby zmarli z kurhanów zostali przywołani za sprawą słonecznych zaklęć, mógł się sprawdzić. Fakt, iż nie trzeba będzie ich karmić, tylko wzmacniał atrakcyjność tego pomysłu.

A ponieważ Plotyn zainteresował go niedawno, wziął tę książeczkę na podróż, miał ją w bagażach. I od tego postanowił zacząć.

Rankiem więc nakazał baronowi von Remingtonowi przygotować pochodnie, zapas jedzenia i wyspać się, bo czeka ich długa noc i kto wie, jaki dzień. Sam też zjadł lekki posiłek i udał się na spoczynek.

* * *

Kurhany usypane zostały w taki sposób, że pomiędzy nimi znajdowała się pusta przestrzeń. I tam właśnie Fillegan przystąpił do ożywiania armii dla barona von Remingtona, jego samego pozostawiając pod osłoną trzech dębów, przy rozpalonym ognisku, nakazując mu pilnować torby ze wszystkimi magicznymi akcesoriami, które rycerz na wszelki wypadek wziął ze sobą.

Trzy kurhany majaczyły nad Filleganem niby przysadziste upiory, oblewane zimnym blaskiem księżyca, czekające, aby pochłonąć rycerza, ukryć w swych przepastnych trzewiach.

Najpierw rozsypał dookoła siebie sól, tworząc gruby na szerokość palca okrąg o średnicy dwóch kroków. Jak twierdził Plotyn, kryształki, odbijając światło, zabezpieczyły maga przed niespodziankami ze strony heliofobów i heliofilów. Co prawda, rycerz nie chciał przywołać ani jednych, ani drugich, tylko ze świata ciemności przyciągnąć umarłych do słońca, ale ostrożności nigdy za wiele.

Na wszelki wypadek wewnątrz tego okręgu Fillegan usypał jeszcze jeden, ze sproszkowanego węgla drzewnego wymieszanego z grudkami demonitu, który zawsze woził ze sobą. Gdyby coś poszło dramatycznie źle, zawsze mógł mieć nadzieję na to, że zdoła paskudnego pozaświatowego potwora strącić w tę warstwę i tam uwięzić.

Wreszcie wbił pęk pochodni w sam środek koła i wziął do ręki księgę Plotyna.

„*Caraibes dominicanes kaymanes martinique... - zaczął - heliumpoleium Jbalticium est...*”

Za kręgiem podniosła się mgła, ściany kurhanów rozmyły się w zimnym, niebieskawym trupim blasku. Fillegan poczuł na twarzy lodowaty powiew, skóra zaczęła go piec, a włosy i włoski na całym ciele zjeżyły się jak podczas gwałtownej burzy z piorunami.

Kolejne słowa wypowiadał z coraz większym trudem, zupełnie jakby coś blokowało mu usta...

Naraz rozległa się salwa trzasków, jak gdyby w ogniu pękały źle wypalone naczynia. Rycerz zaklął niewyraźnie przez zęby. „Czyżbym coś pomylił?” - pomyślał niespokojnie.

Przez opary mgły nie mógł dojrzeć skutków zaklęcia. Mimo to, kontynuował. „Na odpowiedzialność Plotyna.”

Wreszcie skończył wypowiadać zaklęcie i przetarł szybkim ruchem czoło mokre od potu.

„I co teraz?”

Plotyn nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Fillegan zaś nie miał żadnej praktyki. Dłuższą chwilę trwało, nim pojął, że skoro zmarłych przywoływał do słońca, to może jego wejście jest ostatnim, niezbędnym akordem czaru. Bo mgła rozwiewała się z wolna, znów widać było księżyc. Zastanawiał się, czy powinien pozostać w kręgu do rana, do nadejścia słonecznego blasku. Wreszcie wyjął miecz i doskonale zdając sobie sprawę, że ta zabawka niewiele mu pomoże w razie czego, poprawia jedynie samopoczucie - przekroczył krąg. Po czym, nie niepokoiony przez demony nocy, wrócił do barona, pod dęby.

- Cieszcie się, bo na noc będą wracać do kurhanów, jak wszystko dobrze pójdzie - rzekł, choć wcale nie był pewien, czy istotnie tak się stanie, musiał polegać na zdaniu Plotyna. - Nie umiem precyzyjnie określić, kiedy ta armia wylezie z kurhanów, ale zapewne nie wcześniej, niż słońce wstanie. Do zamku nie ma co wracać, trzeba czekać i obserwować.

Tak też uczynili. Księżyc świecił, jaskry zgodnie z nazwą połyskiwały w mdłym świetle niby niezliczone gwiazdki. Baron przysypiał w oczekiwaniu na swoją armię, Fillegan od czasu do czasu spoglądał na kurhany.

- Psiakrew! - zaklął naraz. Pomiędzy kurhanami zamajaczyła samotna postać, rozglądająca się niepewnie dookoła. - Zaplątał się jakiś heliofob, czy co?!

Trącił von Remingtona na ramię. Ten poderwał się niespokojnie, chwytając za miecz. Fillegan z trudem zdołał go powstrzymać od wymachiwania ostrzem na oślep.

- Patrzcie, panie - szepnął - macie pierwszego chętnego do waszej armii.

- Jednego? - skrzywił się baron. - Jeden lycerz w takim dużym kulhanie? W trzech kulhanach? - poprawił się zaraz.

No i przewrotny Los pokarał go za to wybrzydzenie, a i Filleganowi przy okazji też się dostało.

Kiedy podeszli do rycerza, Fillegan od razu spostrzegł, że coś jest nie tak, bo człowiek ten wcale nie wyglądał na opromienionego chwałą wojownika, raczej na przypadkową ofiarę jakiejś bójki albo zarazy, żeby nie powiedzieć, że padł od zwykłej gonki po zjedzeniu zatrutej strawy.

- No, trochę się pospało... - zaczął niepewnie Fillegan.

Rycerz tylko machnął ręką.

- Dobrze, żeście obudzili - odparł. Był to znany już nam Udo von Karakorn we własnej osobie. - Ja tam zresztą zawsze miałem kłopoty ze snem. A pora ruszać stąd w świat, wieży jakiejś poszukać... księżniczki chętniej... ,

Teraz i do barona von Remingtona dotarło, że coś jest chyba nie tak.

- Zalaz! - rzekł impulsywnie. - Jaka wieża, jaka księżniczka? Ja was angażuję do bitwy, potem sobie pośpicie, albo żłobicie co tam chcecie. Zginęliście z honorem w wielkiej bitwie, to obowiązki macie... na Kallenbuschów trza uderzyć...

Na chudej i bladej twarzy von Karakorna odmalowało się takie zdziwienie, że Filleganowi żołądek podjechał do lewego ucha.

- Jaka bitwa? - niepewnie i z wyraźnym strachem spytał rycerz. - Jakie obowiązki? Ja jestem błędny rycerz, panie! Księżniczek szukam!!!

* * *

Kiedy wreszcie Remington odzyskał przytomność, Fillegan mógł w końcu wydobyć od nieszczęsnego błędnego rycerza resztę opowieści. Zasiadli pomiędzy trzema dębami, o które baron toczył bój ze zdradzieckim rodem Karrenbuschów, a Udo von Karakorn, pogryzając resztki wędzonego sarniego udźca pozostałe z wieczerzy (i zarazem zadając kłam twierdzeniu Plotyna, że światłolubcy nie potrzebują żadnego innego pokarmu), kontynuował wyjaśnienia.

- A bo, o tam, niedaleko jeziora, stała kiedyś wieża. A w wieży księżniczka. Ojciec ją замуrował, bo mu się za bardzo za chłopakami oglądała... to znaczy, powiewała im chusteczką - rzekł z westchnieniem Udo. - Piękna była ta nasza Laluppa... - A jak księżniczka w wieży, to rycerz do niej bieży - ciągnął sentencjonalnie, gdy już otarł łzy wspomnienia. - To i zaczęli tu ciągnąć chłopcy z całej Europy, niczym do miodu. Ale ojczulek Laluppy więzienie wybudował solidne, więc jak kto przybył, to albo padał zdobywając wieżę, albo na suchoty, gdy zbyt długo oblegał, albo wreszcie cichcem z ręki kuszników dbających, żeby żadnemu śmiałkowi się nie powiodło...

Fillegan w zdumieniu pokręcił głową, rzucając Remingtonowi kosę spojrzenia. „Tak to jest, jak się nie zna historii” - pomyślał - „i wierzy w legendy opowiadane przez ludzi.”

- Czyli nie bitwa, tylko sami pechowcy?

Udo von Karakorn z ociąganiem skinął głową.

- Sami błędni rycerze - przyznał. - Cóż robić, taka profesja. Co jeden to smutniejszy los ma do opowiedzenia. Zresztą, pewnie jak słońce wszędzie, sami się przekonacie...

- Jednego nie lozumiem - mruknął Remington. - Dlaczego pochowali was wszystkich w kulhanach?

- Bo się im znudziło ciągle kopać osobne groby - niechętnie odparł von Karakorn. - To wzniesli od razu trzy kurhany, puste w środku i jak się który zapełnił, to zawalali wejście.

Remington spojrział na jezioro, jakby szukając wieży.

- Nie ma co szukać - poinformował go błędny rycerz. - Prapradziadek szanownego pana, kiedy tylko przejął te ziemie, rozebrał do fundamentów, żeby skończyć z tym całym ceregielem, bo rycerze ciągnęły także i wtedy, gdy nadobna Laluppa dawno już wyzionęła ducha. A potem wszystko poszło chyba w niepamięć...

Remington skinął głową.

- Jasne, teraz rozumiem, czemu mnie straszili, jak dzieckiem jeszcze byłem, że mnie w wieży zamkną. No to macie kłopot, panie Filleganie... trzeba by coś zrobić...

- Mowa była o ożywieniu - warknął Fillegan. - To i ożywiłem, niezaprzeczalnie powołałem do życia. Ten tu - wskazał na von Karakorna oblizującego tłuste palce po posiłku pierwszym od stulecia - za dowód wystarczy. Ale zabić to już nie będzie można.

- Ożywiłście, to i zabić chyba możecie? - rzekł z nadzieją Remington.

- Nie możecie - pogardliwie prychnął Fillegan. - Każdemu się wydaje, że czary to jak droga dwukierunkowa. A im kto się bardziej nie zna, tym mądrzejszy, psia wasza mać. To był czar jednokierunkowy.

Zasepiony Remington umilkł. Tymczasem Fillegan, przeklinając na czym świat stoi, zastanawiał się, co począć. Księżyc już zanikał, tuż przed świtem rozświegoliło się ptactwo... za chwilę będą mieli tu całe stado błędnego rycerstwa. Nie potrzebował Remingtona, żeby pojąć, że coś trzeba z tym fantem począć.

- Przecież jesteście wybitnym magiem - z rozpaczą rzekł Remington. - To co, wy sobie nie poradzicie, wy?! A ja idę poszukać natchnienia, bo pęcherz mnie ciśnie.

II.

No i właśnie dlatego wściekły Fillegan porzucił towarzystwo Filo von Remingtona oraz błędnego rycerza Udo von Karakorna na rzecz trzech masywnych kurhanów porośniętych jaskrem trującym.

Pochodnie już się dopaliły, a ślady po magicznym obrzędzie wskrzeszającym nieco zatarła rosa. Stojąc przed największym ze wzgórz, Fillegan w żywy kamień przeklinał Karakorna, Plotyna, w szczególności zaś barona von Remingtona. Chętnie by ich - rozdzielonych do gaci, splecionych sznurem - wrzucił pomiędzy jaskry.

- Ażeby was zaraza zjadła - mruknął, popatrując na wznoszące się ponad nim kurhany.

W odpowiedzi coś zaszeleściło w gęstwie trującego kwiecia. Zaintrygowany Fillegan podszedł...

Mała zielona żabka przyglądała mu się przez chwilę, zaraz jednak kilkoma skokami oddaliła się na bezpieczną odległość. Nie ścigał jej. Uśmiechnął się mrocznie, z przekąsem rzucił w powietrze jedno słówko, po czym rażnym krokiem ruszył w stronę wciąż oczekujących go barona oraz von Karakorna.

Już wiedział, co należy uczynić.

* * *

Wkrótce, jak należało się spodziewać, dzień rozwinął się w pełnej krasie, a błędne rycerstwo zaczęło wyłazić z kurhanów, poziewując sennie. Nie był to imponujący widok, bo w zasadzie niczym się nie różnili od podążającego w ich stronę von Karakorna. Powiedzieć o nich „zbieranina”, to jak nazwać zwykłe wino do obiadu olimpijską ambrozją, nektarem bogów. W zbieraniu, hałastrze czy innej menażerii zawsze się może trafić kawałek czegoś lepszego. Tu, pośród tych kurdupli z bronią pokrzywioną, wzrokiem mętym i minami świadczącymi o wielopokoleniowych kazirodczych związkach, w wyniku których przyszli na świat, trudno było liczyć na znalezienie choćby jednego normalnego, nadającego się do czegokolwiek rzeźmieszka z rycerskim rodowodem.

A przecież to z tą armią baron von Remington miał zamiar napaść ziemie Karrenbuschów.

- No to macie swoich błędnych rycerzy - z przekazem rzucił Fillegan.
- No i co ja teraz mam począć z tą almią?! - spytał zrozpaczony baron. - Przecież oni się do niczego nie nadają, psiaklewka!

Rycerz wzruszył ramionami.

- Chcieliście, to i macie - odparł spokojnie.

Remington przenosił wzrok to na swoją armię, to na Fillegana, tymczasem błędne rycerstwo rozłaziło mu się w poszukiwaniu wieży z księżniczką.

- W zasadzie to już nie moja sprawa - ciągnął Fillegan; uśmiechając się krzywo. - Ale ja to bym wam radził, żeby szybko coś zrobić, bo naprawdę wam wejda w szkodę. Albo, co gorsza, obleżą sąsiadów i wtedy dopiero może się zrobić niemiło...

Remington położył ręce na głowie, jakby chciał rwać włosy.

- To co ja mam złościć, na Boga miłosiernego?!

- Nie moja sprawa - z sarkazmem odparł Fillegan. - Ale słyszałem o takich zwierzątkach, zwą się, zabawne, prawda?, lemingtony czy jakoś tak. Co ileś lat rzucają się do wody i większość z nich tonie. No to musicie to błędne rycerstwo utopić.

- Ale w jaki sposób utopić to cholelstwo? - westchnął baron. - Za dużo ich, żeby tak wypchać siłą...

- Ano, musicie dać im przykład - obłudnie westchnął Fillegan. - Chodźcie, trzeba ich najpierw zebrać do kupy...

Podążyli w stronę kurhanów. Tymczasem błędne rycerstwo rozglądało się niepewnie wokół, szukając jakiegoś punktu oparcia w tej nowej rzeczywistości. Ale żadnej wieży nie było, dokąd okiem sięgnąć.

Fillegan klasnął w dłonie, przy okazji rozsypując wokół pewien proszek, który likwidował wolną wolę ludzi, którzy wciągnęli go do płuc. Sam uodpornił się na niego dużo wcześniej, gdy tylko go zdobył.

- Panowie - zaczął - brać rycerska, za tym jeziorem - tu machnął ręką w stronę jeziora wytyczającego granice włości Remingtona - czeka piękna księżniczka w wysokiej wieży. Drogę wskaże wam ten tu baron, nasz gospodarz. Podążajcie jego śladem.

- Mam iść? - niepewnie spytał Remington. Posępnie wpatrywał się w chaszczce porastające brzeg, odległy o tysiąc kroków. - Tak przez wodę?

Fillegan uśmiechnął się złośliwie.

- Jak chcecie, to wasz wybór, ja mogę tylko doradzić.. . No i radzę iść. Prosto przed siebie. Aha, możecie zaśpiewać „Alleluja i do przodu” albo inną pieśń bojową.

Baron z wahaniem podążył w stronę jeziora, za nim zaś uformował się karny dwuszereg błędnego rycerstwa.

Fillegan z zadowoleniem obserwował, jak von Remington zamoczył stopę w zimnej wodzie, po czym już bardziej zdecydowanie postawił pierwszy krok. Gromada rycerstwa z pieśnią na ustach podążyła za nim.

Fillegan uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Woda w tym miejscu miała kilkanaście stóp głębokości, a na dnie czekały głodne węgorze i ryby drapieżne. Fillegan nie tylko pozbawił Remingtona oraz błędne rycerstwo własnej woli, dzięki czemu wleźli w odmęty jeziora. Sprowadził także wszystko, co mogło im zaszkodzić. Już ich tam skubały wodne stworzenia, a na horyzoncie pojawiły się dwa głodne niedźwiedzie, truchtając od strony włości Karrenbuschów.

Czego jak czego, ale reklamacji Fillegan z Wake bardzo, ale to bardzo nie lubił.

Romuald Pawlak